

Marginalia

Hasła, podobne do tych, które widzimy obok, na fotografiach, spotykałem w ubiegłym roku w Hiszpanii, w Niemczech, we Francji. Reagowałem podobnie – zażenowaniem. Jednak mniejszym, byłem wszak turystą, obcym. U siebie zło boli więcej, stąd też potrzeba tych refleksji. Chciałbym komentarz Adama Bartosza poszerzyć o kontekst czasowy i kulturowy.

Zacznę od anegdoty. Prawdziwej. Działo się to we Wrocławiu, w drugiej połowie lat 70-tych. W mieście pojawiły się pisane nocą, czerwonym sprayem, hasła antyradzieckie. Za dnia zamazywano je, nieudolnie, trudno tak zamazać, aby nie było widać treści. Samo zamazanie już było treścią, mówiło co trzeba. Milicja, ponaglana przez Partię, powołała grupę operacyjną, sądzono, iż powstała podziemna organizacja. Patrole krążyły nocą po mieście, bez rezultatu. Wreszcie, po 2 tygodniach, wracający do domu funkcjonariusz zderzył się na rogu ulicy z chłopcem. Ten rzucił się do ucieczki, co widząc milicjant w naturalnym odruchu wszystkich policjantów na świecie, zaczął go gonić. Krzyknął, że strzela. Chłopca doprowadzono na Komendę Milicji, dowody przeciw niemu były niezaprzeczalne, zaczęły napis na domu, puszcza sprayu. Przestraszony wydał „organizację”, szef miał 15 lat, on 17, trzeci uczestnik 16. Sprawę ujął w swe ręce major, prawnik, człowiek mądry i przyzwyczajony. Dlaczego wypisujesz takie hasła? – zapytał. Chłopiec spokojnie odpowiedział – Ktoś musi o tym mówić, wy przecież nie możecie... – No dobrze! ale co to za bzdury o Katyniu? – To nie bzdury, panie majorze. To prawda. – Skąd o tym wiesz? – Mój dziadek zginął w Katyniu. Major speszył się, ale pytał dalej – Dlaczego piszecie: „RWPG to klęska gospodarcza Polski”? Przecież to nieprawda! – Pan się myli, chłopiec zaczął sypać faktami. Znal dane statystyczne, cytował je z pamięci. Major wiedział, że były prawdziwe, zapytał więc z zaciekawieniem – skąd o tym wiesz? – Wygrałem ogólnopolską olimpiadę wiedzy o Polsce i świecie współczesnym, odpowiedział chłopiec. Sprawa skończyła się łagodnym wyrokiem – rodzice zapłacili 300 zł za brudzenie murów przez ich synków.

Hasła pisane wówczas i dziś. Cóż to za różnica. Pamiętam tamte lata, każde hasło było w oczy, jak reflektor. Nie można było go nie zauważyć, przejść obojętnie, jakby to był plakat minionego koncertu. Mury mówiły. Krzyczały. Nawoływały (no, wpadłem w patos). Podobnie jak w latach okupacji.

Dziś pisanie niczym nie grozi, może karą za brudzenie ścian, ale ile takich spraw?

Dlaczego zacząłem od anegdoty? Ponieważ pomaga dostrzec, ile się zmieniło w kontekście towarzyszącym hasłom, pojawiającym się na murach. Można zrobić wykres, ukazujący ścisły ich związek z wydarzeniami, jakie miały miejsce w ostatnim ćwierćwieczu (dokładnie, od marca 1968 r.). Zmieniała się treść napisów, ich adresat, zmieniał się nadawca i reakcja publiczności. Wpłynęły na to przede wszystkim dwa czynniki: zmiany polityczne, zachodzące w kraju oraz zmiany w przestrzeni wizualnej, która nas otacza.

Wpływ sytuacji politycznej jest oczywisty. W okresie dławienia swobody wypowiedzi, cenzury, presji propagandowej (TV – Urban, prasa), mury stały się ścienną gazetą opozycji. Przestrzenia przez nią anektowaną. Opozycji wszelkiej, każdy gest przeciw liczył się przeciw, dopiero później nastąpiło zróżnicowanie. Pisali, rysowali ci, którzy byli przeciw – z racji ideowych, ale także kontestujący wszelki establishment, porządek, świat dorosłych. Próby reżymu skanalizowania ruchu mazania na murach nie miały szans, śmieszne i głupie (tablice w parkach przeznaczone do pisania, taki warszawski Hyde Park).

Z kolei drugi czynnik, też zresztą związany z przemianami ustrojowymi. Mała ilość reklam, wszelkiego rodzaju informacji zapewniających krajobraz miast, mniejsze zanieczyszczenie przestrzeni wizualnej, a co za tym idzie większa czytelność (i siła oddziaływania) komunikatów, napisów, rysunków na murach.

Rozsypanie się ustroju, możliwości głoszenia wszelkich hasel i poglądów z jednej strony, a z drugiej natłok reklam, informacji, ulotek, plakatów sprawiły, że mur nie przemawia dziś do nas z taką siłą, jak jeszcze przed czterema laty. Hasła mijamy obojętnie, nie dostrzegamy ich, muszą być szczególnie ciekawe, wyraziste, by je zobaczyć, zapamiętać, jak np. w przejściu pod Al. Ujazdowskimi zabawny rysunek trzech rakiet wyrzucanych w przestrzeń i napis – *księża na księżyc*.

Przykład ten wskazuje na zasadniczą zmianę w charakterze hasel. Ostre, polityczne ustąpiły miejsca mniej lub bardziej dowcipnym. Mury przestały być narzędziem (mur narzędziem!) walki politycznej, stają się rodzajem publicznej gazety ściennej, w której możemy wyczytać zarówno komunały, jak i inteligentne, zabawne konstatacje (*Bóg umarł! Nietzsche i pod tym: Nietzsche umarł! Bóg*).

Stajemy się krajem normalnym (co nie koniecznie znaczy – sympatycznym). Wystawa, którą niedawno oglądaliśmy w warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej stanowi artystyczną transformację

zjawiska, o którym piszę. Jenny Holzer pokazała m.in. cykl plakatów z truizmami. Wywieszane w przejściach podziemnych doskonale wpisywały się w kontekst ulicy. Autorka wybrane hasła umieściła także na wielkich tablicach reklamowych, w hali głównej Dworca Centralnego, w dużych magazynach. W swym charakterze nie odbiegały od tych, które możemy dostrzec na ulicach miasta, oczywiście od hasel „inteligentnych”, dowcipnych, nieagresywnych czy plugawych. Oto kilka: *Brakuje dzisiaj niepodważalnych prawd; Czasem nauka rozwija się szybciej niż powinna; Głupi ludzie nie powinni się rozmnażać; Dekadencja może być celem samym w sobie*.

Mur stał się publiczną salą wystawową, miejscem lepszych czy gorszych popisów plastycznych, hasel bezinteresownych. Podobnie za granicą, w Niemczech, w Szwecji. Uderza podobna stylistyka graffiti, nawiązująca do estetyki komiksów i filmów Disneya. Anonimowe, pokoleniowe przejawy buntu, manifestacja własnej tożsamości. Nie tylko frustracji.

U nas obserwując to, co się dzieje na murach, zwłaszcza w Warszawie, dostrzegam wyraźny wpływ Pomarańczowej Alternatywy. Dowcip. Często świetny, ostry. Nigdzie takiego nie widziałem poza Polską.

Tu wracam do powodów tych uwag – hasel na zdjęciach. Nie przeceniam ich znaczenia, nie demonizuję faktu pojawiania się plugawych napisów, czy to w ubikacjach, czy na ścianach. Trzeba je dostrzegać, ale nie w kontekście graffiti, lecz ogólnej degradacji kultury w naszym kraju. Nie miejsce tu na analizę przyczyn, wspomnę tylko, że lata powojenne to migracje, rozbijanie więzi międzyludzkich, upadek autorytetów, kłamstwa propagandy, szczucie jednych przeciw drugim. Można mówić wręcz o zespole zjawisk degradacyjnych. Głupie hasła na murach są ich częścią i pochodną. Trzeba je widzieć na tle: wulgaryzacji słownictwa, niszczenia aparatów telefonicznych, wnętrza autobusów, tablic informacyjnych na przystankach, łamanie ławek, niszczenia urządzeń do zabawy dla dzieci (Łazienki!!!), demolowania cmentarzy żołnierzy Armii Czerwonej, żydowskich, ewangelickich, prawosławnych, katolickich (Warszawa!). Żyjemy w okresie wzmocnionych zachowań agresywnych i to różnie się wyrażających. Źródłem ich są frustracje, wyniki z niepewności, złości na tych, którzy się dorobili (zwłaszcza „obcych”), bezrobocie, brak perspektyw na mieszkanie, pracę, godziwe życie. Wszystko to powoduje narastające poczucie zagrożenia, rozładowywane – nieraz w sposób barbarzyński (pogromy Cyganów w Mławie).

Na tym tle widzę hasła wypisywane na murach. To, że są, nie powinno dziwić, istotne tylko – na ile ich siła oddziaływania jest duża, i z jakim się spotykają przyjęciem.

W tym miejscu powiedzieć muszę, iż byłem niedawno w Gdańsku. Kiedy przyjechałem, na ścianach w pobliżu dworca wisiały ulotki z hasłami – antymasońskimi, antyżydowskimi. Głupie, obłąkane. Następnego dnia były zerwane. Nie przez policję! A więc ktoś pisał, drukował, nalepiał, ale i ktoś zrywał. Nie widziałem przy tym nikogo, kto by chciał się zatrzymać, przeczytać długi elaborat, o tym, jak to Żydzi rządzą Ameryką, masonerią itd.

Zmieniło się oczekiwanie na prawdę. Nie szukamy jej na murach. Kto chce – pisze. Gazet mamy do wyboru, do koloru. Plugawe też są. Posłowie opluwają się w sejmie, dobre słowo pozostało w kościołach na niedzielę, przez sześć dni słuchamy wszędzie inwektyw i to jest pejzaż, na tle którego należy postrzegać brudne hasła. (A propos tarnowskich, wyraźnie widać, że kilka z nich kreśliła ta sama ręka.)

Na zakończenie kilka uwag o rodowodzie hasel „anty”. Kiedy czytam „Żydzi do piachu”, „Żydzi do gazu” przypomina mi się kampania hasel prowadzona przez Partię od marca 1968 r. „Pisarze do piór, robotnicy do fabryk”, a zwłaszcza „Syjoniści do Syjamu” (!!!). Kretynizm tego hasła znajduje kontynuację i dzisiaj. W moim ulubionym przejściu (plac Na Rozdrożu) wyczytałem ostatnio „Żydzi do domu”. Nie sądzę, by ten, który je pisał wiedział coś o Tuwimie, Słonimskim, Leśmianie, by pomyślał, że domem tysięcy Polaków z dziada, pradziada, o jakimś tam procencie krwi żydowskiej (wg ustaw norymberskich) – jest Polska właśnie. Co to więc znaczy – Gebert do domu? Ma iść na Nowy Świat?

Warto pamiętać, że wojnę na hasła wprowadziła Partia. Przed wojną mury były (pomijając okres wyborów) czyste. Między innymi dlatego, że domy należały do prywatnych właścicieli, pilnowali je dozorczy. Propagandziści reżymu powtarzali hasła opluwające („AK – zapluty karzeł reakcji”) i gloryfikujące (o ZSRR, Armii Czerwonej, PZPR) wierząc, że rzeczą tysiąc razy zobaczona, usłyszana, kształtuje świadomość. Okazało się, że spece od reklam (*Ociec, prac?*, *Diękuję ci, Omo*) biją ich na głowę. Pokłosiem partyjnej frazeologii są hasła, które przytacza Bartosz.

Problemem rzeczywistym, ważnym, jest niski stopień tolerancji. U nas i w innych krajach.

Aleksander Jackowski